**Sto lat szpitala w Kobierzynie: ciągły rozwój i zmiany na lepsze**

17 czerwca 2017 Grażyna Starzak

Jubileusz. Wciąż wracałam w to miejsce, by poznać i przedstawić innym losy ludzi, którzy tam trafiają, by oswoić czytelników z rzeczywistością Kobierzyna - mówi Krystyna Rożnowska, krakowska dziennikarka i pisarka, autorka wydanej ostatnio monografii stuletniego szpitala. - Szpital psychiatryczny w Kobierzynie - jedna z najbardziej rozpoznawalnych krakowskich placówek medycznych - właśnie kończy 100 lat. Ty odwiedziłaś go po raz pierwszy, jako reporterka, 30 lat temu. Co zapamiętałaś z tej wizyty? - Przede wszystkim byłam zaskoczona, że to jest aż tak ponure miejsce. Stare, zniszczone budynki. Wewnątrz, w ogromnych salach metalowe łóżka. Na nich stara pościel i mocno już zużyte koce. Odrapane, brudne ściany i potwornie dużo ludzi. Chodzili posuwistym krokiem, z nieprzytomnymi oczami, z twarzą często bez żadnej mimiki. Pomyślałam, że tak chyba wyglądały obozy koncentracyjne. Było mi ogromnie żal tych ludzi. Młodych, starych. Ludzi różnych, nieraz bardzo cenionych zawodów. Doszłam do wniosku, że tuż pod Krakowem jest jakiś zupełnie inny świat. Zasypiając, widziałam pod powiekami tych ludzi i myślałam sobie, że gdyby mieszkańcy Krakowa widzieli to samo co ja, to nie powinni spokojnie żyć, spokojnie spać. Przestałam się dziwić, że słowo „Kobierzyn” budziło wśród ludzi tak negatywne, wręcz straszne skojarzenia. - Później wielokrotnie tam wracałaś… - Wracałam, by poznać i przedstawić innym losy ludzi, którzy tam trafiają, żeby oswoić czytelników moich reportaży, drukowanych wówczas na łamach „Gazety Krakowskiej”, z rzeczywistością Kobierzyna, żeby opowiedzieć im, czym są choroby psychiczne i uzmysłowić, że każdego z nas mogą one dotknąć. Robiłam to, opisując losy pojedynczych ludzi, wcale nierzadko ludzi znanych. Wtedy, w Kobierzynie, pacjenci przebywali latami, a niektórzy nawet aż do swojej śmierci. Tamtejszy szpital, prócz faktycznie chorych, przyjmował wszystkich, których społeczeństwo wyrzuciło na margines - bezdomnych, kalekich, uzależnionych, kłopotliwych. - Plonem Twoich wielokrotnych wizyt w Kobierzynie jest książka z okazji setnych „urodzin” szpitala. Znany psychiatra prof. Bogdan de Barbaro mówi, że to „fascynująca biografia nas wszystkich”. Jak to rozumieć? - Myślę, iż profesor Barbaro miał na myśli to, że ludzie, którzy przychodzili tam i przychodzą z tzw. normalnego świata, przynosili i przynoszą doświadczenia nas wszystkich, które splatają się z ich chorobą. Bo choroba zdziera z nas maskę, którą nosimy na co dzień, którą narzuca nam kultura, wychowanie. Ci ludzie tam, w Kobierzynie, nie noszą maski. Są po prostu sobą. Uważam, że w takich ekstremalnych warunkach lepiej poznaje się człowieka. - Który okres ze stuletnich dziejów szpitala był dla niego najbardziej dramatyczny, a który najbardziej pomyślny? - Najbardziej tragiczny był oczywiście okres II wojny światowej. Od jej początku do 1942 roku w Kobierzynie zmarło z głodu i wycieńczenia około 100 osób. W czerwcu 1942 roku Niemcy wywieźli do Oświęcimia ponad 500 pacjentów. Co najmniej 30, tych najciężej chorych, zabito na miejscu. Potem był tam szpital dla niemieckich żołnierzy przywożonych z frontu. W 1945 roku przez kilka miesięcy stacjonowały w Kobierzynie wojska sowieckie. Na szczęście nie doszło do większej dewastacji szpitala. Po zakończeniu II wojny światowej powoli powrócił personel i zaczęto organizować szpital od nowa. Natomiast najlepszy okres to - w mojej opinii - ten po wybudowaniu szpitala, jednego z największych wówczas i najnowocześniejszych w Europie. W latach 1908-1914 na 52 hektarach terenów zielonych powstało 15 pawilonów dla 800 chorych, budynki mieszkalne dla personelu, a także zabudowania gospodarcze. To było całe, samowystarczalne miasteczko - ogród, z własną piekarnią, masarnią, teatrem i kaplicą. Miejsce bardzo zadbane, pięknie ukwiecone i bardzo potrzebne. Jedyna placówka tego typu na terenie Galicji - Zakład dla Umysłowo Chorych w Kulparkowie pod Lwowem - był przepełniony do granic możliwości. Skoro mówimy o najlepszych latach Kobierzyna, trzeba do nich zaliczyć również obecny okres. Rewitalizacja szpitala zaczęła się już w latach 90. ubiegłego stulecia. Za pieniądze Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa odrestaurowano w pierwszej kolejności kaplicę i budynek teatru. Część pawilonów wyposażono w schody przeciwpożarowe i poddano adaptacji na funkcje terapeutyczne. Zmiany na lepsze widać i wewnątrz budynków. Pacjentom żyje się lepiej i wygodniej. Młodzi lekarze, z którymi rozmawiałam, nie wierzą, gdy słyszą, jak wyglądał Kobierzyn jeszcze w latach 80. XX wieku. - Jakie były początki kobierzyńskiej lecznicy? - Ponieważ wspomniany wyżej zakład w Kulparkowie był bardzo przepełniony, a chorych przybywało, postanowiono, że w zaborze austriackim trzeba zbudować nowy szpital. W 1903 r. zapadła decyzja, że powstanie w Krakowie, który był liczącym się ośrodkiem uniwersyteckim, mającym znaczące osiągnięcia w dziedzinie medycyny. Po zatwierdzeniu decyzji w 1907 r. przez galicyjski Sejm Krajowy rozpoczęto prace projektowe, prowadzono pod kierunkiem architekta Władysława Klimczaka. Późniejszy profesor Politechniki Lwowskiej specjalizował się w tematyce szpitalno-uzdrowiskowej. Projektował m.in. obiekty w Krynicy, Żegiestowie i Ciechocinku. Koordynacją prac i projektem części pawilonów zajął się znakomity krakowski architekt Tadeusz Stryjeński. W pracach projektowych uczestniczyli wybitni psychiatrzy, m.in. Jan Mazurkiewicz, Jan Pilz, Henryk Halban i inni. - Szpital w Kobierzynie miał i chyba ma nadal szczęście do dobrego, fachowego personelu… - To prawda. W szpitalu w Kobierzynie rozpoczynał swoją pracę zawodową, naukową jeden z najbardziej znanych psychiatrów - prof. Antoni Kępiński. Tam pracowali także inni, bardzo zasłużeni dla rozwoju tej dziedziny medycyny - m.in. prof. Adam Szymusik, wspaniały psychiatra Władysław Stryjeński, doktor Noemi Madejska, która - zachęcając do twórczości chorych artystów - zapoczątkowała leczenie przez sztukę, doktor Marian Mika zagorzale walczący z alkoholizmem swych pacjentów. W czasie, gdy przy szpitalu była Szkoła Pielęgniarstwa Psychiatrycznego, jej szefową była przez rok Anna Chrzanowska, dziś kandydatka na ołtarze. Jednak w 1958 r. ówczesne władze pozbawiły ją tego stanowiska, a szkołę zamknęły. Szpital miał znakomitych dyrektorów. Wiele lat szefował mu zmarły przed dwoma laty dr Andrzej Kowal. To jemu głównie pacjenci zawdzięczają terapię poprzez sztukę. - Na początku naszej rozmowy wspominałaś, kto przed laty trafiał do Kobierzyna. Kogo kieruje się do tego szpitala obecnie? Wszak psychiatria, jak piszesz w swoje książce, ma różne oblicza… - Teraz to normalnie zorganizowany szpital specjalistyczny. Trafiają tam chorzy psychicznie, np. schizofrenicy, osoby z chorobą dwubiegunową, dotknięte depresją, z zaburzeniami osobowości, z uzależnieniami. Zwykle na kilka tygodni, rzadziej na dwa, trzy miesiące. Kiedy trzeba, przedłuża się ten czas. Systematycznie rośnie grupa pacjentów z depresją w zaawansowanej postaci. To choroba cywilizacyjna. Szacuje się, że w krajach rozwiniętych powyżej 30 proc. populacji ma epizody depresyjne. U nas ok. 20 proc. Znakiem czasów jest to, że coraz częściej spotyka się w Kobierzynie ludzi z różnymi psychozami, którzy wcześniej pracowali za granicą. To wynik długiej rozłąki z rodziną, która nierzadko się rozpada. Bywają też dzisiaj w szpitalu osoby, które popadają w wewnętrzny konflikt i depresję z powodu niespłaconych kredytów. W Kobierzynie jest też oddział geriatryczny, coraz bardziej oblężony, bo przybywa ludzi starszych, samotnych, z demencją, chorobą Alzheimera itd. - Był czas, gdy pacjenci leczeni w Kobierzynie, wstydzili się o tym mówić. Coś się zmieniło? - Myślę, że tak, ale ta zmiana jest niedostateczna. Historia psychiatrii jest ogromnie tragiczna i brutalna. Chorych przecież kiedyś w szpitalach bardzo źle traktowano, metody leczenia też były brutalne. Teraz jest inaczej, ale chorzy nadal są na marginesie życia. Mamy takie czasy, kiedy intelekt i pieniądze stanowią o wartości człowieka w potocznym rozumieniu. Ceni się ludzi sukcesu, a chorzy psychicznie to ludzie jakby życiowo przegrani. Budzą lęk, nikt nie chce mieć ich w swym otoczeniu. Z tego powodu ci, którzy są po leczeniu, nie mają większych szans na otrzymanie pracy i odzyskanie pozycji społecznej. Dlatego nie mówią o swej chorobie, co jest dodatkową dla nich traumą. Toteż ciągle ta choroba przekreśla człowieka, nawet jeśli lekarz uzna go już za zdrowego. To jest właśnie wykluczenie, o którym mówi papież Franciszek, bardzo przykre i dodatkowo obciążające.